

## Waldemar Łazuga Przewrót 1926

Zamach majowy zaczął się w grudniu 1922 roku.

Jego zwieńczenie nastąpiło cztery lata później na moście Poniatowskiego, zwanym wtedy Trzecim Mostem. Była środa, 12 maja 1926 roku. Dochodziła godzina 17. Pierwszy od strony centrum autem przyjechał prezydent Stanisław Wojciechowski. Pół godziny wcześniej most z tej strony Wisły obsadziła wierna rządowi Oficerska Szkoła Piechoty. Pojawienie się większej ilości wojska ściągnęło tłum gapiów. Piłsudski po drugiej stronie pojawił się pół godziny później. Wysiadł z samochodu i w niewielkiej asyście ruszył w stronę Wojciechowskiego. Po chwili byli sami. Rozmawiali w takim oddaleniu od przebywających na moście, że nikt nie mógł powiedzieć, że wie, o czym mówili. Obydwaj żywo gestykulowali. W pewnej chwili Piłsudski chwycił Wojciechowskiego za rękaw. Po czym go wyminął i ruszył w stronę żołnierzy. Wszystko trwało zaledwie kilka minut. Wojciechowski szybkim krokiem wrócił do swego auta. Mijając przyszłych oficerów rzucił w ich stronę: „Spełnijcie swój obowiązek”. Piłsudski czas jakiś pozostał na moście. Próbował nawiązać kontakt z oficerami Szkoły. Badał, czy przepuszczą go na drugi brzeg. Nie wyglądało to dobrze. Był błady. Odmowa wyraźnie go zaskoczyła. Oparł się o balustradę. Zamarł w bezruchu. Na moście – bez wyraźnych instrukcji – zostawił Wieniawę Długoszowskiego i zapowiedział, że tu jeszcze wróci, po czym wsiadł do samochodu i odjechał na Pragę. Wieniawę zaraz potem aresztowano, ale w więzieniu długo nie posiedział i wyszedł jeszcze tego samego dnia wieczorem. Tymczasem około 17.40 z praskiego brzegu padły pierwsze, przypadkowe zapewne strzały. Nikomu nie zrobiły krzywdy. Ale zrobiły wrażenie. O godzinie 19 powracająca z Rembertowa, wierna rządowi „podchorążówka” przemaszzerowała przez most niepokojona przez „zamachowców” od Piłsudskiego.

Panowała dezorientacja. Początek to czy finał akcji? Przed burzą czy po burzy? W kawiarniach różne rzeczy mówiono. Że Piłsudski ruszy z Sulejówka na Warszawę lub że nie ruszy, gdyby zaś ruszył, to reprezentujący w rządzie wojsko, gen. Malczewski „owinie go sobie dokoła palca”. Że w Sulejówku padły jakieś strzały lub że to plotka. Że oddany Piłsudskiemu Żeligowski szykuje wielkie antyrządowe manewry. Lub że manewry te wspomniano przed chwilą Malczewski odwołał. Że gen. Orlicz Dreszer od kilku dni krąży między Poznaniem a Warszawą, skąd go do Poznania przeniesiono, a następnie na dawne stanowisko ostentacyjnie przywrócono.

Przesilenie trwało od listopada 1925 roku, jeśli liczyć od dnia, w którym w Sulejówku kilku generałów i tysiąc oficerów postawiło do dyspozycji marszałka swe w bojach zaprawione szable. Mijały jednak miesiące, a szabel nie dobywano. I widocznych przygotowań do zamachu nie wszczęto. Piłsudski – mówiono – „gra na przesilenie”, co zresztą sam pośrednio potwierdzał. Tylko, co chce osiągnąć? Do czego dąży?

Odpowiadano różnie. Chodzi o „przywrócenie” marszałkowi należnego stanowiska w armii. Ale niewykluczone, że i o coś więcej: o zmianę rządu, o przekształcenie ustrojowe państwa, o coś w rodzaju moralnej rewolucji. Że wreszcie Piłsudski „chce zmienić wszystko”, zacząć budowę państwa od nowa. Ale, co się za tym kryje? W wywiadach dla *Kuriera Porannego* sporo mówił, co należy w Polsce zburzyć, ale niewiele, co należy zbudować i jak odbudowana Polska ma wyglądać. „Zmienić wszystko” oznaczało niewiele. Na marginesie były finanse, ekonomia i tak ważne dla socjalistów – sprawy socjalne. W centrum: „rozwydrzenie partyjne”, deprawacja instytucji i ludzi, moralny brud i anarchia. Przede wszystkim zaś sytuacja w wojsku, prawdziwa katastrofa przejawiająca się głównie w upokarzającym traktowaniu naczelnego wodza, będącego – jak się uskarżał – „czymś w rodzaju wypędka z państwa”. „Wypędek” był oczywiście figurą centralną. Skupiał całe zło.

Na wrogów ciskał marszałek obelgi tak grube, że kilku pułkowników usiłowało powstrzymać go w tych tyradach. Do polityki miał „obrzydzenie”. O sobie mówił skromnie: „Ja i Brygada – to jedno”, by to „ja” rozciągnąć niebawem na legiony, a w końcu na całą armię. „Stary rozkapryszony megaloman” – wyraził się o nim kiedyś ludowiec z Wyzwolenia, Stanisław Thugutt. „Niesprawiedliwość” w państwie miała jego imię. Z „niesprawiedliwością” potrafił się utożsamić. Nie przestawał być Naczelnikiem Państwa.

Zakładano, że przesilenie rządowe potrwa do jesieni. Przypominało sinusoidę. Nastąpiło w maju 1926 roku. I nie odbyło bez impulsu z zewnątrz. Do dziesiątego dnia miesiąca Piłsudski uważał, że gdyby w gabinecie zawiązanym pod jego komendą udało się „zgrać” trzech ministrów lewicowych (z PPS, PSL – Wyzwolenie i Stronnictw Chłopskiego) „można by próbować zmniejszyć szujstwo w Polsce”. Ministrów zgrać się jednak nie udało. Nie powiodła się też próba z Grabskim jako premierem i Żeligowskim w środku (pogodzenia „wody z ogniem”). „Szujstwo” więc trwało nadal (wraz z „szujstwem” i „wypędkiem” pozostawały w organicznym związku). 10 maja powstał rząd, w którego utworzenie Piłsudski nie wierzył. Na jego czele stanął szef „Piasta” Wincenty Witos, a ministrem spraw wojskowych – bez pytania marszałka o zgodę – wspomniany już gen. Julian

Malczewski, szef Dowództwa Okręgu Korpusu w Warszawie. Gabinet miał charakter endecko – chadecko – ludowy, co Piłsudski odebrał jako prowokację. 9 maja w wywiadzie prasowym Witos oświadczył, że krytykując innych, Piłsudski się chowa. Niech więc wyjdzie z ukrycia i weźmie odpowiedzialność za państwo. **On, Witos**, gdyby miał po swojej stronie wojsko, wiedziałby, jak go użyć. Ironia parzyła jak pokrzywa. Piłsudskiemu puściły nerwy. Od śmierci Narutowicza wielokrotnie powracał do myśli, że ludzie odpowiedzialni za zabójstwo prezydenta na zawsze powinni zniknąć życia politycznego. Endeków dotyczyło to przede wszystkim. Słyszał, że chcą go odsunąć od spraw wojskowych, obwiniają za chaos w Sztapie Generalnym, kwestionują jego przygotowanie wojskowe (wystarczające jakoby do prowadzenia działań partyzanckich). Szujstwo i jeszcze raz szujstwo. Z Witosem sprawa była inna. Poróżnił się **z nim** jeszcze w galicyjskich czasach. Ale pomijając wszystkie spory po drodze, miał do niego pretensję o to, że podczas wyborów prezydenckich w 1922 roku odegrał rolę „wielkiego rozgrywającego”. A może także o to, że – jak podejrzewano – on jeden naprawdę chciał zostać prezydentem. A teraz dogaduje się z endecją. Zmian zachodzących w kraju nie przyjmował do wiadomości.

Z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim była inna sprawa. Wojciechowski nie atakował. Wojciechowski był jego pierwszym kandydatem w wyborach prezydenckich wygranych przez Narutowicza i pierwszym po jego zabójstwie. Z Wojciechowskim się przyjaźnił, z Wojciechowskim współpracował w Polskiej Partii Socjalistycznej. Bywali na zjazdach socjalistów za granicą. Z Wojciechowskim wydawali *Robotnika* (stąd do Wojciechowskiego przylgnęło, że to „drukarz”), nieraz odżywiali się samą tylko herbatą i „spali pod jedną kołdrą” (płaszczem lub kocem). 12 maja na moście, w scenie jak z antycznej tragedii, znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. I z różnych powodów ta scena i ten most, stały się metaforą zamachu.

Gdzie szukać jego genezy? Może tam, gdzie w życiu jednego i drugiego otwiera się nowy rozdział? W grudniu po śmierci Narutowicza Wojciechowski zostaje prezydentem. W tym samym czasie wszechwładny do niedawna Piłsudski przestaje być najważniejszą osobą w państwie. Czy jednak umiał przestać? Czy się z tym pogodził? W grudniu 1922 roku Polska jest w szoku. Narutowicz ginie *per procura*. Zabójca nie kryje, że chciał zabić Piłsudskiego. Naprzeciw siebie stają dwa wielkie obozy ewokujące czasy przedrozbiorowe. Z obu stron padają najcięższe oskarżenia. Można odnieść wrażenie, że Polska składa się z samych agentów, zdrajców, żydów, masonów, Judaszów, krzyżaków, „podgatunków ludzkich” oraz że są dwie Targowice: rosyjska i „germa-

nofilska”. Do głosu dochodzą najgorsze nasze przywary. Maria Dąbrowska pisze, że mamy oto dwa odrębne, nienawidzące się narody mówiące tym samym językiem i nienawiść między nimi nigdy nie ustanie. Pojawiają się głosy, że „konieczna jest wojna bratobójcza”, bo na żadne porozumienie się nie zanosi. Do przemocy gotowe są obie strony. **Lecz** do rozprawy nie jest **gotowy Piłsudski**, przeżywający **wtedy** jeden z najtrudniejszych momentów w życiu. Ma kłopoty z podjęciem decyzji. Zwleka. Ostatecznie do zamachu po zamachu nie dochodzi.

Dochodzi do czegoś w rodzaju zawieszenia broni. **Marszałek wycofuje** się do Sulejówka, który przypomina dwór na wygnaniu, gdzie zamiast libertii są mundury. Zaczyna się inna gra. Piłsudski wystawia do niej Wojciechowskiego. Miał rozumieć jego zamiary i nie ułatwiać życia przeciwnikom. Nie oczekiwał, że Wojciechowski prezydenturą się przejmie i będzie bezstronny. Jeśli więc zdaniem Piłsudskiego „preponderancja sejm”, była defektem, to Wojciechowski nie powinien dyskutować i coś naprawiać. Jeśli z „sejmokratami” Piłsudski toczył wojnę, nie powinien pokazywać się z gałązką oliwną. Czy jednak Piłsudski dobrze wybrał? Czy Wojciechowski do tej roli się nadawał? Był człowiekiem poważnym, prostolinijnym. Dobrze poczuł się w skromnych ramach marcowej konstytucji. Podczas jednego z objazdów kraju oświadczył nawet, że wobec tego, co Polacy przeszli i czego od obcej władzy doświadczyli – rząd w Polsce wcale nie musi być silny. Piłsudskiemu, miłośnikowi „silnego rządu” takie *dictum* nie mogło się podobać. Ani odwoływania Wojciechowskiego do obywatelskich, socjalistycznych i demokratycznych przekonań. Ani jego rozmowy z przedstawicielami partii, których Piłsudski wyraźnie nie lubił: z Sikorskim, Witosem czy Grabskim. Ani też to, że każdego interesanta – nie wyłączając Piłsudskiego – przyjmował w zwykłym trybie, po uprzednim zgłoszeniu się w sekretariacie, co na adiutanturze Belwederu, robiło wrażenie. Efekt był taki, że im bardziej Wojciechowski stawał się prezydentem, zyskiwał na popularności, tym jego stosunki z Piłsudskim się komplikowały. *Mówiono, że po jednej z wizyt u Wojciechowskiego Piłsudski, wychodząc z Belwederu, miał na głos powiedzieć: „Ja wreszcie zgaszę tę gromnicę”.* Henryk Comte, adiutant prezydenta, autor tej informacji zastrzegal wprawdzie, że niejedną plotkę wtedy puszczano, ale coś mogło być na rzeczy. Wojciechowski – chcąc nie chcąc – stawał się częścią większej całości. A Piłsudski, coraz bardziej rozżalony do świata, wobec Wojciechowskiego wyraźnie chmurniał.

Zwłaszcza, że po kilku wpadkach na początku kadencji Wojciechowski wypadał coraz lepiej. Mówił bez zbędnych ozdobników. Jasno. Zwięźle. W mowach zwracał się do całego społeczeństwa i poruszał sprawy zrozu-

miałe dla ogółu. W porównaniu z tym mowy Piłsudskiego były osobiste, ksobne, pełne odniesień do biografii, cezariańskie. W mowach Wojciechowskiego dostrzegano wpływ orędy prezydentów Stanów Zjednoczonych (trzymał je w kilku tomach w gabinecie na półce). Miały charakter demokratyczny, obywatelski. Zaczynało się to podobać. Widywano go w parku i w tramwaju. Bywał w Resursie Obywatelskiej i na spotkaniach Związku Kaliszan. Zaciekawiało, że był spółdzielcą. Pojawiły się głosy, że staje się „moralnym dyktatorem” i że urząd prezydenta tak właśnie powinien wyglądać. Były też oczywiście głosy przeciwne, że z tym demokratyzmem, bezpośredniością i „zwyczajnością” Wojciechowski przesadza. Że za mało w nim pierwiastków uwznioślających. Dyktansu do codzienności życia. Osobistej charyzmy. Oraz spektaklu, który ludzie tak lubią. Że bez stosownego *decorum* wielu rodakom trudno będzie wyobrazić sobie państwo, które przeważnie jest abstrakcją. Zwłaszcza, gdy się uwzględni, że blisko 40 procent stanowią w nim analfabeci. A na wschodzie kraju jest ich jeszcze o 20 procent więcej. Nie można powiedzieć, żeby Wojciechowski lekceważył te argumenty. W końcu, gdzie się nie ruszył układano na jego cześć wierszyki. Śpiewano piosenki. Witano z pompą i zwracano się: „Mości Prezydencie”. Działał mechanizm dobrze znany. Z jednej strony Wojciechowski stwarzał nowy w naszej historii urząd, z drugiej – sam przez ten urząd był stwarzany.

To jasne, że zwłaszcza w kontaktach międzynarodowych, niejednego musiał się uczyć. Jan Skotnicki, malarz i zaangażowany obserwator życia publicznego, niemądrze wyliczał, ile to popełniał gaf i jak się nieraz z powodu braku dyplomatycznego obycia męczył. Nie brylował też znajomością języków obcych (co nigdy nie przeszkadzało Piłsudskiemu). Pamiętajmy, że Polaków mających jakieś większe pojęcie o protokole dyplomatycznym było wtedy niewiele. Dawni wysocy urzędnicy c. k., byli usuwani na margines. Póki jeszcze żył Agenor Gołuchowski, były minister spraw zagranicznych Austro – Węgier, nieraz dyskretnie proszono go o pomoc. Gołuchowski „wielki świat” znał od podszewki. Wojciechowski oglądał go z perspektywy konspiratora i spiskowca. Za spiskową robotę wymierzoną przeciwko Rosji wydano go też z Francji (bez prawa powrotu), z czym zresztą – gdy został prezydentem – był pewien problem.

Tak czy inaczej, Piłsudski wyobraźnią przebywający wśród hetmanów i królów oglądał to wszystko z Sulejówka. Grze rozpoczętej w grudniu 1922 roku towarzyszyło rosnące zniechęcenie i rozgoryczenie. Sejm był zły. Gabinety nie lepsze. Premierzy do wymiany, w wojsku bałagan. Bezczytność po kilkunastu latach wzmożonej aktywności **trudna do zniesienia**. **Twierdzono**, że Dmowski „wypalił się” podczas konferencji pokojowej

w Paryżu. Możliwe, że Piłsudski „wypalił się”, gdy był Naczelnikiem Państwa. Dość, że wobec konstytucji marcowej był bezradny. Jego optymizm z pierwszych lat niepodległości przeszedł w posępny pesymizm. Śmierć Narutowicza przeżył głęboko. Zmienił się w stosunku do najbliższych. Używał coraz mocniejszych słów. Wylewał żale. I już sama jego obecność stawała się problemem. Bo nie mieścił się w żadnej konstelacji. Bo wystawał poza ramy. Kim mógłby być, gdyby wszystko zacząć od nowa? Gdyby przeprowadzić reset? Jak na gruncie prawa ująć to, kim jest i do czego teraz najwyraźniej dąży?! Nie jest pewne, czy on sam to wiedział, gdy w maju 1926 roku ruszał w stronę mostu Poniatowskiego. Wiele improwizował. Stawiał na imponderabilia, na intuicję i nastroje. Zakładał, że wojsko ma w garści i to jest najpewniejsze, co ma. Ale na moście ani wobec starożytności, ani wobec żołnierzy jego słynny „urok” nie zadziałał. Nie zakładał, że znajdzie się żołnierz, który będzie do niego strzelał. Wojciechowski się postawił. Przeżył kolejny wstrząs. Kto wie, czy nie z wszystkich największy?

A jednak i tym razem wygrał – objął władzę i sprawował ją już do śmierci jako faktyczny Naczelnik Państwa niezależnie od wszelkich formalnych ram i piastowanych urzędów. Rządził Polską w tak oczywisty sposób, że prawnikom pracującym nad nową konstytucją brakowało pomysłów, aby to opisać. Ostatecznie zajęło im to dziewięć lat. Konstytucję ogłoszono w kwietniu 1935 roku. W maju tego roku Piłsudski zmarł.

Pochowano go wśród królów.

PS. Drobnym przyczynkiem do zamachu majowego – i roli Piłsudskiego i Wojciechowskiego w tej historii – mogą być wspomnienia Janusza Pajewskiego, których wysłuchałem i po większej części spisałem. Otóż Pajewski (urodzony w 1907 roku) wspominał, jakim wrażeniem był dla niego widok prezydenta w czerwcu 1923 roku na ulicach Warszawy podczas wizyty rumuńskiej pary królewskiej. Uderzył go majestat Wojciechowskiego, w który trochę wątpił. Poczul z tego powodu zadowolenie i dumę. Trzy lata później, w 1926 roku, tuż przed Wielkanocą osiemnastoletni dowiedział się z gazet, że w drugi dzień świąt, na kilka godzin, z powodu wyjazdu Wojciechowskiego na wypoczynek Belweder można będzie zwiedzać. Wybrał się tam i był pod wrażeniem z zupełnie innego powodu – surowości wystroju prezydenckich pomieszczeń i prostoty wyposażenia. Majestat zszedł na plan dalszy. Wojciechowski w jego oczach jako demokrat jeszcze zyskał. Przed zamachem majowym konfliktu między Wojciechowskim i Piłsudskim nie umiał sobie wyobrazić. Piłsudski dla niego był „widmem zmartwychwstającej Polski”. Romantyzmem i zbiorowym marzeniem. W maju 1926 roku je-

go uczucia były po stronie Wojciechowskiego. Do Piłsudskiego „wrócił” dopiero po kilku latach , a jego śmierć – podobnie jak większość społeczeństwa – głęboko przeżył. ■

---